

W LEKARZE i PARAGRAFY

W kołach lekarskich i prawniczych trwa dyskusja nad projektem nowej ustawy o zawodzie lekarza. Jak zwykle w takich wypadkach obok wypowiedzi pozytywnych nie brak uwag krytycznych, w których podkreślana jest niedoskonałość projektu i wewnętrzne jego braki. Najistotniejsze jest jednak to, iż ustawa zajęła się regulacją bardzo ważnych kwestii nieobjętych do tego czasu normami prawnymi, które dotyczą zarówno lekarzy jak i nas pacjentów. Doceniając wagę tego problemu zwróciliśmy się do prorektora Akademii Medycznej prof. dr. Witolda Michałkiewicza z prośbą o krótką rozmowę na ten temat.

— Sprawy związane z wykonywaniem zawodu lekarza były dotychczas normowane przez kilka ustaw i rozporządzeń, pochodzących z różnych lat a nawet sprzed wojny. A więc w nowym projekcie ustawy chodzi o ujednolicenie tych przepisów...

— Zapewne, ale również ważna jest tu potrzeba wypienienia powstałych luk w ustawodawstwie, które pozostało nieco w tyle za rozwijającym się życiem społecznym. Rola medycyny zmieniła się na całym świecie, a w Polsce uległa ona zasadniczej zmianie. Nastąpiło to przede wszystkim wskutek upowszechnienia opieki lekarskiej i rozwoju techniki, a także specjalizacji. Pamiętam, że gdy przed dwudziestu

pięciu laty rozpoczynałem praktykę lekarską, dominowało w naszym zawodzie leczenie. Dziś, na plan pierwszy wysuwa się zapobieganie chorobom. Nadto lekarz współczesny zajmuje się wieloma zjawiskami społecznymi i współdziała w organizowaniu życia społeczeństwa (stacje sanitarno-epidemiologiczne, urbanizacja, higiena miast i wsi, bhp).

Nieco inaczej także kształtuje się osobowość człowieka, członka nowego społeczeństwa. Stąd to inaczej niż dawniej układają się stosunki lekarz-pacjent, inna jest lista praw i obowiązków lekarza. Po mimo takich wyraźnych tendencji projekt ustawy — i to jest moje pierwsze zastrzeżenie — niedosta-

kład o konieczności zdobycia uprawnień lekarza drogą stażu pracy, to także dzieje się to w interesie społeczeństwa, choć obowiązek dotyczy wyłącznie lekarza. Ale nie tylko w tym wyraża się zabezpieczenie interesu pacjentów. Wiele artykułów mówi bezpośrednio o obowiązkach lekarzy wobec chorych. Tych obowiązków jest bodaj więcej niż praw.

Do ważniejszych z tego punktu widzenia należy artykuł dwudziesty, który usuwa dotychczas istniejące wątpliwości. Wprowadza on miano wicze zasadę, że lekarz może podjąć czynności z zakresu zapobiegania — rozpoznawania i leczenia bez zgody chorego, jeśli czynności te wiążą się z przeciętnym ryzykiem dla zdro-

dziesiąty drugi, określający przypadki pozwalające lekarzowi na odstąpienie od opieki nad chorym. Artykuł pięćdziesiąty na przykład zdążył w swej treści do przeciwstawienia się niezdrowej reklamie i przyciąganiu przez lekarzy pacjentów w ramach praktyki prywatnej.

— Jeśli już mowa o praktyce prywatnej, to jaki jest stosunek projektu do tych spraw.

— Stwarza on podstawę do jej ograniczenia w szczególności tam, gdzie nie znajduje to uzasadnienia w postaci potrzeb ludności.

— Do projektu włączono w formie norm prawnych podstawowe zasady etyki zawodowej. Dotychczas kwestii tych wyraźnie nie określa-

no. Czy innowacja ta pomoże lekarzom w wykonywaniu ich obowiązków?

— Raczej tak, choć jestem zdania, że przepisy nie są tu najważniejsze. Znacznie więcej uwagi przywiązuje do rozwijania pierwiastków humanitarnych, podnoszenia etyki drogą kulturywania godności zawodowej, poczucia społecznej roli lekarza. Temu procesowi musi towarzyszyć podnoszenie etyki całego społeczeństwa.

— Pan Rektor wspominał na wstępie o pewnych uwagach krytycznych w stosunku do projektu ustawy.

— Swoje pierwsze zastrzeżenie uzupełniłem innymi. Oto moim zdaniem pominięto istotną sprawę wyrażenia określenia uprawnień lekarza w zakresie sterylizacji i inseminacji. Współczesne życie nasycone w tym zakresie oczywiste potrzeby. Mam na przykład często do czynienia z pacjentkami o wyniszczonym organizmie, której mąż pijak pozbawiony jakichkolwiek hamulców moralnych każde rodzi wbrew interesom i ze szkodą rodziny i społeczeństwa.

Projekt zajął także stanowisko kłopotujące lekarza w sprawach jego zależności od władz nadzorczych przy podejmowaniu pewnych decyzji. Jakkolwiek by jednak nie było, jest to dopiero projekt, który zostanie zapewne solidnie uzupełniony uwagami dyskutantów; ustawa będzie aktem doniosłym doskonałym służbom zdrowia i interesom całego społeczeństwa i świata lekarskiego.

Rozmawiał:

Zbigniew Mika

Rozmowa z prof. dr. Witoldem Michałkiewiczem

tecnie uwypukla doniosłą rolę lekarza w społeczeństwie. Potwierdzeniem tego może być praktyka: dotychczas nie podpisano z lekarzami umowy zbiorowej. To taka uwaga dygresyjna.

— Naszych Czytelników będzie bardzo interesować grupa tych norm, które wyraźnie zabezpieczają interesy pacjentów.

— Nie będzie błędem gdy powiem że zdecydowana większość artykułów projektu właśnie tym się zajmuje. Jeśli bowiem mowa tam na przy-

wia lub życia. Zgoda taka potrzebna jest jednak gdy ryzyko jest wyższe od przeciętnego. Dotychczas wymagano tego tylko w przypadku zabiegów chirurgicznych, co jest oczywiście, przy obecnym stanie skomplikowanych metod diagnostycznych, zupełnie niewystarczające. Za daleko idące uprawnienia w tym zakresie są dla lekarzy raczej niekorzystne, gdyż łączą się z koniecznością osobistego podejmowania nieraz przykrych decyzji.

Podobnie istotnymi sprawami zajmują się artykuły dwudziesty pierwszy, regulujący kwestie udzielania przez lekarza nagłej pomocy i dwu-

Można by oczywiście spróbować prowizorki: otworzyć specjalizację i prowadzić ją, ograniczając się do nauczania jej strony teoretycznej. Można by również prowadzić studentów na każde ćwiczenia praktyczne do „Cegielskiego”, który gotów jest swe podwoje dla nich otworzyć. Ale ani to droga pedagogiczna, ani prowadząca do trwałego celu.

Najsmutniejsze zaś w całej tej historii oczekiwanego mariażu Politechniki z „Cegielskim” jest to, że nasze zakłady gotowe są z własnych funduszy inwestycyjnych „wyskrobać” owe, niezbędne dla rozruchu specjalizacji, 30 milionów. Niestety, nie mają żadnych prawnych podstaw, aby to uczynić. Nie zapadła bowiem żadna wiążąca decyzja, upoważniająca do otwarcia tzw. tytułu inwestycyjnego. Dlatego, choć to mariaż XX wieku — bez tytułu trudno się wydać...

WANDA CHILA

Bez tytułu trudno się wydać

Dokończenie ze str. 1

znańskiej uczelni, która pracuje w warunkach urągających w wielu wypadkach podstawowym zasadom bezpieczeństwa i higieny pracy, nie mówiąc już o niezwykle ciasnocie wszystkich zakładów naukowych i sal wykładowych.

Żeby nie być gołosłownym: obecnie jedynie 40 proc. pomieszczeń uczelni zlokalizowanych jest w budynkach stałych; reszta w tzw. pomocniczych. Co to znaczy „pomocniczych”? Oto laboratorium silników spalinowych mieści się w byłych stajniach, katedra elektryfikacji rolnictwa — w barakach po straży pożarnej, zaś katedra mechanizacji rolnictwa ma zakłady w barakach, pozostawionych przez ro-

botników, którzy niegdyś budowali dom akademicki przy ul. Kórnickiej.

W roku bieżącym Politechnice otwarto kredyt wysokości 1 miliona złotych, z Wojewódzkiego Zarządu Inwestycyjnego Szkół Wyższych, za które to pieniądze postanowiono wybudować drugi, własny, dom studencki i ukończyć stację elektryczną, zasilającą rejon budynków uczelni.

A partner czeka...

To są potrzeby najpilniejsze i oczywiście żadne ich ograniczanie nie pozwoliłoby zasilic pustego ciągle konta nowej, projektowanej specjalności, którą „wywianować” trzeba nieco większymi sumami.

Bogusław Kogut

Saksofon i noga

Noga, nie nogi; noga w liczbie pojedynczej. Noga naturalistyczna, trochę centkowna, już nie pamiętam: z przodu czy też z tyłu te centki; noga, rzecz jasna, damska. Saksofon, jak saksofon, grająca fajka. To nie jest ekspozycja nowelki dla „Przekroju”. Uważny Czytelniku, jeśli jest również uważnym telewizorem, wie o czym mówię...

Co nam daje telewizja? Bardzo dużo nam daje telewizja. Osobiście, gdyby nie telewizja, nigdy bym nie oglądał Igrzysk Olimpijskich, ponieważ Tokio a nawet Rzym leży poza zasięgiem moich turystycznych możliwości; wątpię również czy usłyszałbym i zobaczył jednocześnie Karin Stankę. Nie mówiąc już o szansy ciągłego sprawdzania swojej inteligencji i wiedzy przy „Kółku i krzyżyku”, „Drzewku mądrości” i innych teleturniejach. Więc dużo nam daje telewizja.

Co nam zabiera telewizja? Czas, powiadają, zabiera. Ale czas jest pojęciem względnym, umownym. Więc strata także jest względna. Bardzo względna. Bo tracąc, oszczędzamy jednocześnie. Nie idziemy do kina, oszczędzamy czas potrzebny na kupno biletów i na pokonanie odległości między naszym adresem a adresem kina. Ta odległość bywa niekiedy dość spora, jako że nie wszyscy mieszkamy w Poznaniu, Łodzi, Wrocławiu, Warszawie. Więc nie idziemy do kina, gdzie ekran jak pół nieba a człowiek czuje się taki malutki, siedzimy sobie w domu (dom, świetna rzecz), ślepimy w ekran wielkości kierowego asa i jakże jesteśmy dumni, niezależni itd. Niezależni od kolejki przed kasą, od pogody (dziękuję: stać po bilet, kiedy leje) od... Nie wiem już od czego.

Ze na tym małym ekranie trochę za często widać napis: „Nie regulować odbiorników”, „Przepraszamy za zakłócenia” etc? I tak jesteśmy niezależni, możemy wyłączyć telewizor i pójść do łazienki, ogolić się, by jutro z rana nie tracić czasu. Jeszcze jedna oszczędność. Październik jest miesiącem oszczędzania.

Więc telewizja daje nam dużo. A nade wszystko daje nam namiastki, czyli po polsku: ersatz. Telewizja ze swej istoty jest za-

stępstwem. Nie reprodukcją — zastępstwem. To zastępstwo jest na razie czarno-białe i piaskie. Potem będzie kolorowe, trójwymiarowe i stereofoniczne. Ale zawsze zastępstwo. To ani pretensja, ani żal, to stwierdzenie faktu.

Każdy bóg ma licznych mniejszych bogów lub aniołów, każda ważna osoba ma kilku co najmniej zastępców. Zastępstwo to jest powielanie, powielanie to jest masowość. Już dziś trudno sobie wyobrazić masową rozrywkę bez telewizji.

„Muzyka dla ciebie”, stała teleaudycja poznańska — to w swoim rodzaju dobra rzecz. Ostatnia „Muzyka dla ciebie” nie była ani lepsza ani gorsza niż poprzednie. Tylko — że był to ersatz podwójny. Rewietka (operetka?) „Dziękuję ci Ewo” już sama jest zastępstwem (uroczym) kulturalnej strawy duchowej. Telewizyjny fragment o zlepie (przepraszam za neologizm) był zastępstwem zastępstwa. A w antrakcie na przemian: saksofon albo noga, można nawet powiedzieć: nożka.

Tu asekuracja: Nie krytykuje programu, nie oceniam ani telewizji, ani operetki. Interesuje mnie problem, nie zaś poziom, technika itp. Problem masowej, powielonej rozrywki kulturalnej, jej treści, a nade wszystko jej

stylu. Ten styl można by opisywać długo. Ale można go przedstawić syntetycznie. Realizatorzy ostatniej „Muzyki dla ciebie” wykazali genialną zdolność do syntetyzacji. Dla współczesnego modelu masowej kulturo-rozrywki trudno byłoby znaleźć lepsze godło niż saksofon i noga. Noga może być na szpilce, może też być na widelcu, z musztardą lub chrzanem. Semantyczna pojemność drugiego członu godła jest wprost zaskakująca w swej trafności metaforycznej. I pomyśleć, że to wykonywano w telewizji. W instytucji, którą wszyscy krytykują. I bez której wszyscy nie mogą się obejść.

Post scriptum: Poprzedniej nocy znalazły się w „Głosie” moje wiersze, raczej mało żartobliwe. Ale żartownisł chochlik nie oszczędza nikogo i niczego. W jednym wierszu chochlik przerobił „prawdziwą prawdę” (rzek), która poniekąd rymuje się z pobożewiskiem (w drugim przypadku liczby mnogiej) — na „prawdziwą prawdę”, w której ani rymu ani sensu. Chochlik zachorował na tautologię, czyli drętwą mowę. Dziękuję. Przepraszam.

nad i

Kazimierz Młynarz

Sezon filmowy

W „Kamerze”

DKF „Kamera” wkracza obecnie w ósmy sezon swej pozytywnej działalności. W latach poprzednich jego członkowie obejrzeliby przeszło 300 najróżniejszych filmów, w przeważającej części archiwalnych, obejmujących najcenniejsze pozycje z dziejów kinematografii światowej, m. in. filmy Chaplina, Claira, Marcela Carné, a także inne najlepsze obrazy klasyki filmowej. Związany sztywnymi międzynarodowymi umowami Klub nie może zdradzić pełnej listy tytułów, ale stali uczestnicy klubowych pokazów zapewniają, że nierzaz aż w głowie się kręci od wielkich filmów, nazwisk wielkich reżyserów, wielkich gwiazd.

Ponadto „Kamera” dysponuje zestawem atrakcyjnych obrazów, pochodzących ze specjalnego zakupu. Chodzi tu o filmy wybitne, głównie takie, które ze względu na trudną problematykę nie nadają się do masowego rozpowszechniania. Tuż na szczycie tajemnica nie obowiązują i można uchylić nieco jej rękaw. W tej serii znajdują się zupełnie u nas nieznane filmy Ingmara Bergmana („Wieżenie”, „Marzenia kobiet”, „Twarz”), głośne filmy twórcy „Viridiana”, hiszpańskiego reżysera Luisa Bunuela („Los olvidados”, „Rzeka i śmierć”, „Nazarin”, „Zbrodnicze życie Archibalda de la Cruz”), a także przeszło pół setki filmów, realizowanych dla wybitnych aktorów przez równie wybitnych reżyserów. Wymieńmy dla przykładu: „Dama z Szanghaju” z Orsonem Wellesem oraz Riką Hayworth, „Symfonia pastoralna” z Michèle Morgan, „Pan z milionami” z Gary Cooperem, „Niepotrzebni mogą odejść” z Jamesem Masonem — i szereg innych.

W nadchodzącym sezonie plany programowe „Kamery” zmierzają w trzech kierunkach. W pierwszym chodzi o zaznajomienie klubowiczów z dziejami polskiego filmu przed wojną. Stąd też na najbliższym poniedziałkowym pokazie, inaugurującym nowy sezon, wyświetlony zostanie polski film z 1938 roku „Strachy” według powieści Marii Ukniewskiej, w reżyserii Eugeniusza Cękałskiego i Karola Szurowskiego. W całym cyklu obrazów chodziłoby o ukazanie najlepszej strony dawnego filmu polskiego — znakomitego aktorstwa.

W dalszej kolejności „Kamera” bierze na warsztat problemy filmu niemieckiego, oczywiście dawnego, ze szczególnym uwzględnieniem tzw. szkoły ekspresjonistycznej, która wywarła przeemożny wpływ na rozwój sztuki filmowej. Może w toczonych po obejrzeniu filmu dyskusjach uda się klubowiczom odpowiedzieć na dość istotne pytanie: jak to się stało, że tak wspaniała kiedyś w Niemczech sztuka obecnie na mapie filmowej świata prawie wcale nie istnieje.

Trzecia sprawa — to podjęcie przez Klub ciągle u nas zaniedbywanej sprawy filmu krótkometrażowego i wyświetlenie pełnego zestawu filmów dokumentalnych i animowanych, nagrodzonych na międzynarodowych festiwalach.

Ale to jeszcze nie wszystko, bowiem zarząd „Kamery” nosi się z zamiarem powołania ekipy naukowo-badawczej, zajmującej się systematycznym zbieraniem materiałów do dziejów filmu i kina w Poznaniu, co stałoby się jakimś realnym wkładem Klubu w szeroko zakrojone studia nad przeszłością sztuki i przemysłu filmowego w Polsce.

Wniosek końcowy jest prośby: kłótnie film bardzo poważnie — niech wślą do „Kamery”. Stanie się wtedy sojusznikiem dewizy Louis Jouveta, patronującej działalności klubu: „...również i publiczność winna mieć talenty”.

Leszek Prorok

Do trzech sztormów sztuka

Rzadko zdarza się, że nowy jacht morski już w pierwszym rejsie ma okazję gruntownego sprawdzenia wszystkich swych przymiotów. Okazała taka przytrafiła się „Wielkopolsce”, pięknemu jachtowi oceanicznemu, zbudowanemu z funduszy społecznych, dzięki inicjatywie wodniaków LPŻ naszego regionu w szczecińskich zakładach szkutniczych tej organizacji.

Jako uczestnik pierwszego rejsu miałem okazję śledzić nie tylko przebieg debiutu lecz również próbę generalną. Do czytelników prasy wielkopolskiej dotarły jedynie opisy jachtu i relacje z uroczystości podniesienia bandery na „Wielkopolsce”. Chciałbym dorzucić do nich kilka bardziej morskich szczegółów.

Próba generalna

Prób w zasadzie było kilka: próba żagli, próba kompasów, określenie ich dewiacji czyli odchylen wskazówki od kierunku biegu magnetycznego na skutek umieszczenia w pobliżu kompasu przedmiotów z żelaza, działania żelaznego balastu wagi 6,5 tony, umieszczonego pod kilem itp.

Pływania próbne odbywały się na wodach portu szczecińskiego oraz w tzw. Roztoce Odrzańskiej, która od południa przylega do wielkiego zalewu. Próbowo towarzyszyły liczniejsze znacznie inspekcje: stan statku, jego zdolność żegluga i wyposażenie kontrolował Polski Związek Żeglarski a także dwa razy Szczeciński Urząd Morski, Stacja San-Epid, Ochrona Przeciwpowodziowa itp. Inspektorzy, współcześni nie wierni Tomaszowi, nie zadawali się deklaracją kapitana czy przedłożonym spisem; — musieli obejrzeć komplet map niezbędnych do nawigacji bałtyckiej, musieli sami sprawdzić, że rakietnica funkcjonuje a zapas rakiet, białych (ostrzegawczych) i czerwonych (alarmowych) jest odpowiednio duży. Musieli zbadać płomy na kołach ratunkowych jak też sprawdzić świadectwa ważności świateł pozycyjnych.

Wyposażenie smukłej, sportowej jednostki, której wypełnione wiatrem żagle budzą poetyckie skojarzenia, przypomina raczej skrzyżowanie warsztatu stolarza, ślusarza z zakładem obsługi samochodów, jako że „Wielkopolskę” wyposażono również w angielski silnik o mocy 56 koni mechanicznych. Nie należy przy tym zapomnieć o przyborach żaglomistrza i taklomistrza jak też o wielostronnym wyposażeniu kamбуzy czyli kuchni statku.

Dwa tygodnie nieustającej inspekcji ukoronowało świadectwo Pol. Rejestru Statków. Flagowy statek wielkopolskich wodniaków, ich marzenie od wielu lat, nareszcie ziszczone, uznany został za zdolny do żeglugi wielkiej, oceanicznej, słowem — żeglugi bez ograniczeń. Temu też przypisać należy, iż 25 sierpnia 1962 roku kapitan portu w Swinoujściu, wstrzymujący od kilku dni wyjście w morze żółtych kutrów rybackich, pozwolił „Wielkopolsce” rzucić jej szorstkie szalowe

Syrenka z bałni Andersena dłuta Thorvaldsena u wejścia portu w Kopenhadze
Fot. L. Prorok

cumy. Pod salingiem, czyli poprzeczką głównego masztu, zaoparta czerwona banderka z białym krzyżem, oznaczająca cel podróży — Danię.

Za główkami Swinoujścia

Za główkami wejściowymi kanału portowego w Swinoujściu wiatr z siłą pięciu stopni skali Beauforta kołysał fale zatoki pomorskiej. Przy tej sile stalowe wanty, linki podtrzymujące maszty, zaczynają dźwięczeć charakterystycznym jękiłwym poszumem. Muzyka ta miała nam w różnym natężeniu towarzyszyć przez cały czas rejsu.

Pogoda sztormowa zaczyna się od sześciu stopni Beauforta i właśnie szóstka dopadła nas już na wysokości niemieckiej części wyspy Uznam.

Debiutowi winna towarzyszyć trema. Nie wiem czy odczuwał tremę smukły kremowy kadłub lub strzeliste, 25 m wysokości sięgające maszty, wiem na pewno, że tremę odczuwali wszyscy składający się na pierwszą dziesięcioosobową załogę jachtu. I ci z wieloletnim stażem, liczącym dziesiątki tysięcy mil morskiej a nawet atlantyckiej żeglugi sportowej jak np. kapitan jachtu Zbigniew Jaszczak i ci, którzy debiutowali w żeglarskim spotkaniu z Bałtykiem. Rendez vous dali sobie na pokładzie „Wielkopolski” przedstawiciele Poznania, Chodzieży, Radomia oraz jedyna przedstawicielka Warszawy p. Irena Pietrusiewicz II oficer, władający ważnym sektorem aprowizacji. Pierwszym oficerem, nawigacyjnym, była znana żeglarka poznańska p. Irena Bartkowiak. Funkcje III oficera sprawował rentgenolog radomski dr St. Kolwas.

Gdy zarysy wyspy Uznam skryły się za ruchliwymi wzgórkami fal, a na lewym trawersie wyrosły sine, wysokie brzegi Rugii wdziewaliśmy z całą pewnością: płyniemy w silnym sztormie, sięgającym ósemki. Był to tzw. sztorm wyżowy — przy pięknej, słonecznej pogodzie. Niezbyt korzystny wiatr zachodni zmuszał do żeglugi bajdewindem. Przy tym kierunku wiatru chwiejba dała się we znaki szczególnie dotkliwie.

W sztormie wnętrzu jachtu zaczyna żyć kapryśnym, nieokiełznanym życiem. Wielką energię ujawnia każdy poprzednio nieruchomy i posłuszny kubek, widelec w szufladzie, każdy przedmiot niebacznie zostawiony luzem. Wszystko chrzęści, grzechocze, trzeszczy. Im więcej złośliwej żywotności wykazują przedmioty tym bardziej wycieka ona z ludzi. Pierwszy z naszych trzech sztormów, najsilniejszy i najbardziej uporczywy, powalił fizycznie ponad połowę załogi.

Ku lawicy Rönne

Kolejno rezygnowaliśmy z dużych żagli. Na maszcie pozostały w końcu dwie niewielkie lecz szczególnie mocno szyte płachetki foka i sztormowego bezana. Fale porwały nam propeler logu odmierzającego ilość przebytych mil, następnego dnia — przewalający się przez pokład wał wodny strząsał grubą szybę ochronną kompasu sterowego. Nowiutkie zawiasy i haczyki we wnętrzu statku kruszyły się jedne po drugich.

Sztorm o niespotykanej od dawna na Bałtyku sile zepchnął nas z kursu prowadzącego wzdłuż Rugii na

południowy wschód w okolice wyspy Bornholm, gdzie na lawicy Rönne znajduje się obszar zaburzeń magnetycznych. Kompas wyczyniają tam nieodpowiedzialne dziwy. Przez wiele godzin kołysaliśmy się na falach kilkumetrowej wysokości. Morze opustoszałe. Nocą odgadywaliśmy tylko światła dalekiego brzegu.

Mimo rosnącego znużenia, braku ciepłego pokarmu, który zastąpił kręcony na pokładzie między jednym a drugim bryzgiem fal kogielmogiel, krzepiła każdego świadomość, iż kadłub jachtu świetnie trzyma się fali i skacząc jak korek, kładąc się na bok tak, że woda sięgała krawędzi nadbudówek, pewnie zachowuje stateczność. Niepokój wzbudziło natomiast zatkanie pompy do oczyszczania zenz czyli najniższej części kadłuba, gdzie gromadzą się ścieki i przecieki. W czasie największej chwiejby wybraliśmy kilkusobowym łańcuchem z głębi statku setkę wiader wody brudnej i przesyconej ropą.

Trzeciego dnia podszedł do tańczącej bez wytchnienia „Wielkopolski” duński torpedowiec. Jego

załoga śledziła długo przez lornetkę zachowanie jachtu, oceniała nasze miny zanim przez tubę padło zapytanie, czy potrzebujemy pomocy. Odmówiliśmy wzięcia na hol, ale następnego dnia, już w Szwecji, dotarła do nas wiadomość, że w pobliżu lawicy Rönne inny jacht polski, „Dziwna” z Trzebieży, o tej samej porze wystrzelił czerwona rakietę, żądając pomocy. Duński statek motorowy wziął „Dziwną” na hol i odprowadził ją na Bornholm, gdzie czekali już z kamerami i mikrofonami przedstawiciele duńskiej telewizji, prasy i radia. Oba spotkania z polskimi jachtami oraz ich sytuację odnotowała wzmianką jedna z gazet kopenhaskich.

My zacięliśmy się, pragnąc przejechać sztorm. Walczyliśmy jeszcze dobie, nim zapadła decyzja schronienia się w najbliższym porcie szwedzkim, by nie przeciągać za daleko samozaparcia i wytrzymałości załogi. Przyjął nas bez wiz gościnne, uroczyste miasteczko Ystad. W godzinę po „Wielkopolsce” schronił się tutaj przechylony do granicy, od której statek rozpoczyna tonąć, śred

niej wielkości frachtowiec Venia, wyładowany drzewem. W Ystad czekaliśmy na lepszy wiatr dwie i pół doby; za osłoną falochronów w dalszym ciągu szalał sztorm.

Eol przymknął wór na chwilę

To nie przester metaforiki z mej strony. Do Eola faktycznie pokrzykiwał gromko kapitan „Wielkopolski”, gdy był w dobrym humorze. Nie posiadając wiz, powinniśmy byli po 48 godzinach opuścić port szwedzki. Wyszliśmy trochę później, na fale ostrą, która jednak po minionych doświadczeniach wydawała się igraszką, z solennym zamiarem dotarcia nazajutrz do Kopenhagi.

Następnego dnia byliśmy ponownie pod stromymi brzegami Rugii. Z rysunków w locjach, tj. książkowych przewodnikach morskich i z wymowy świateł nocą identyfikowaliśmy kolejno: Jasmund, Rant-zow, Sassnitz. Do głosu doszedł drugi sztorm. Był nieco słabszy i nie wyłudnił morza. Mijaliśmy często większe statki.

Większości chorych wróciła fantazja, wszystkim na udękę wrócił apetyt. Na udękę — trudno bowiem przy chwiejbie było korzystać z butanowej kuchenki. Nieoceniona za to okazała się szynka w puszkach: zresztą wbrew znanemu żeglarskiemu porzekadłu, iż w sztormie delikatesami karmić nie należy. Kalkuluje się to zbyt drogo w ze-

Dokończenie na str. 4

Opowieść werystyczna

Feliks Fornalczyk

O bie nowe książki Eugeniusza Paukszy dowodzą zmiany zainteresowań terytorialnych autora. Ale nie jest to stwierdzenie ścisłe. Album „Warmia i Mazury” wraca bowiem Pauksza na teren eksplorowany już kilka lat temu, a przecież i Ziemia Koszalińska, będąca obiektem opisu w powieści „Wiatrołomy”, nie była dotąd autorem obca. Jeśli mimo to można teraz mówić o zmianie zainteresowań terytorialnych Eugeniusza Paukszy, pobudkę do takiego stwierdzenia stanowi fakt, że pisarz ten główną uwagę w latach ostatnich koncentrował na problemach i zdarzeniach, rozgrywających się na Ziemi Lubuskiej.

Udostępnione świeżo przez Wydawnictwo Sport i Turystyka albumowe wydanie książki „Warmia i Mazury” znalazło w osobie Paukszy autora wyjątkowo kompetentnego. To przecież Eugeniusz Pauksza był pierwszym po wojnie autorem, który tematykę tej krainy uczynił przedmiotem powieściowego cyklu historycznego, to Pauksza — zanim Warmia i Mazury stały się modnym terenem wczasowym — odbywał w tamte strony długie wyprawy zapoznawcze i w poczynkowe, i pierwszy wprowadził problematykę mazurską do współczesnej literatury polskiej.

W albumie Warmii i Mazur, opracowanym przez Eugeniusza Paukszę, materiał wizualny uzupełnia narrację autora, słowo pisarza działa na tych samych prawach, co prze kaz fotografika. Co więcej, fotografia nie występuje autonomicznie, lecz jest uzupełnieniem opowieści autora. Można nawet powiedzieć, że album „Warmia i Mazury” Paukszy stworzył nową odmianę tego gatunku publikacji.

Czytając więc tę książkę nie tylko dowiadujemy się minionych dziejów Warmii i Mazur, nie tylko poznajemy dzisiejszy stan gospodarki i kultury tej ziemi, ale czujemy się także zaangażowani do odbycia wyprawy turystycznej na Warmię i Mazury. Odczuwa się, że autorowi wszystko tu jest bliskie i serdecznie znajome, że jeśli opowiada o pięknie rzek i jezior, to znak, że te jeziora i rzeki nie tylko widział na własne oczy, ale i przeżył, poznał do samego gruntu, spędził nad nimi niejedną dobę z wędką, na łodzi.

Album Eugeniusza Paukszy jest więc nie tyle owocem gruntownego przestudiowania dokumentów historycznych, co wyznaniem osobistego zakochania w regionie.

Ala nie o tym chciałem mówić. Waszą uwagę pragnę zająć inną nową książką Eugeniusza Paukszy, mianowicie powieścią „Wiatrołomy”. Tytuł odgrywa w niej znaczenie dosłowne i symboliczne. Dosłownym jest w tej powieści werystycznie oddany klimat działalności młodego leśniczego, przez którego losy pisarz zapoznaje czytelnika z

wszystkimi niemal szczegółami pracy gospodarczej środowiska leśnego. Symboliczna jest natomiast cała sfera życia psychicznego bohatera książki, Pawła Kondrackiego.

Ow weryzm powieści można by sobie darować w znacznej części, nie odgrywa on bowiem w książce roli artystycznej, przeciwnie, jest nużący, rozwijany z przesadną drobiazgowością przez autora. Prawda, Pauksza zna wymogi pracy leśników, trudno w tym zakresie przyłapać autora na błędzie czy omyłce. Ale też niewiele zalet, poza zdaniem sprawy z aktualnych obowiązków zawodowych służby leśnej, dałoby się odnaleźć w tej dokumentalnej warstwie „Wiatrołomów”. Jest to więc jeszcze jeden daremny trud pisarski, złożony w ofierze fałszywie określonej powieści środowiskowej.

Znacznie ciekawiej prezentuje się sama dramaturgia powieści, wybór

Rozmyślania o literaturze

typu psychicznego głównego bohatera i nastrojowe opisy przyrody. Eugeniusz Pauksza „Wiatrołomami” jeszcze raz potwierdził swoje umiejętności takiego prowadzenia akcji, które wciągają czytelnika w lekturę. Ale i ujawnił słabe strony swojego warsztatu: przede wszystkim brak selekcji faktów, gadulstwo, nadmierne uproszczone komplikacje ludzkich losów i ową upartą słabość do osadzania zdarzeń w niedobrych środowiskach ludzi przybyłych z różnych stron kraju, co już u Paukszy sprawia wrażenie schematu powieściowego.

Pewnie wyostrzenie sytuacji, nieprzewidziane trudności, jakie musi pokonywać człowiek, są nieodzowne w powieści. Różnica polega na odpowiednim ich dozowaniu. I stosowaniu. Jeśli powieść ma intrygować, musi się w niej coś dziać. Ale nie za wszelką cenę. Musi być zachowany jakiś stopień prawdopodobieństwa akcji, która ma doprowadzić w efekcie, końcowym do zwycięstwa. Oczywiście, przy założeniu, że uprzywilejowany łaską autorską bohater zwycięża w powieści. Doprawdy nie rozumiem, czemu Eugeniusz Pauksza pozwala zawsze zwyciężać swoim głównym bohaterom?

Polemizuję już nie pierwszy raz z tą skłonnością pisarza do pogodnych zakończeń powieści. Judzę, zachęcam, aby raz przynajmniej postawił swojego bohatera w sytuacji bez wyjścia, na pozycji spalonej. Aby w ten sposób doprowadził do zachwiania swojej utartej zasady kompozycji powieściowej, a tym samym spróbował koncepcji trudniejszej.

szej, stawiającej większe wymogi intelektualne i dającej większe perspektywy artystyczne. Na tej tylko drodze może ulec zmianie założenie oceny moralnej, kwestia zasługi i błędu, winy i kary.

Życie bohatera „Wiatrołomów”, Pawła Kondrackiego, dawało w pełni podstawy do przegranej. Paweł nie ma żadnego doświadczenia na nowej placówce. Trafia w środowisko wyjątkowo nieprzystajne. Pełnia błędy. Jest na wskroś szczerzy i brak mu najmniejszego zrozumienia gry taktycznej. Traci w najbardziej decydujących momentach swoich wszystkich przyjaciół i patronów. Staje w mniejszości wobec zdecydowanej akcji swoich wrogów. A mimo to autor w swojej dobroci pozwala mu zwyciężyć. To jest dobre w pedagogice społecznej, ale nie w utworze literackim.

Literatura wymaga czegoś innego. Autonomii przewodu narracyjnego. Uniezależnienia się od wzorców podsuwanych przez życie. Czasem nawet okrucieństwa wobec powołanych do życia książkowego bohaterów. Ostrego, zostającego w pamięci efektu końcowego powieści, który by pobudzał do myślenia, do sprzeciwu, do polemiki z pisarzem. Nie musi tu więc chodzić o wzór do naśladowania, co raczej o zmuszenie do myślenia, o przedstawienie systemu myślenia i oceny postępowania ludzkiego. Zatem i sam autor musi mieć odwagę niestereotypowego myślenia.

Pewnie, stawiając wymóg tego rodzaju, zakładam, że nie chodzi tu tylko o inną wymowę ostatniej ćwiartki powieści. Wymiana kośćca konstrukcyjnego książki pociąga za sobą również zmianę budulca, stylu, budowy zdania, wzrostu waloru każdego pojedynczego słowa. Postuluje te zmiany z całą świadomością. Wypada mi się dotąd bowiem zbyt często zrywać przy lekturze powieści Eugeniusza Paukszy na zdania nieuważnie wypowiedziane, na styl potoczny, gadany, na zbyt szczegółowo oznaczane nieistotne, banalne sprostowania.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że i bez tych „dobrych” rad pisarz nie wybrał łatwego życia, że pracuje na pewno więcej i wydajniej niż nie jeden z nas, niż ja sam. Chodzi mi tylko o to, że praca, jaką wykonuje, może dać bardziej trwałe wyniki, w lepszym gatunku.

Być może, iż jest to marzenie ściętej głowy. Być może należy liczyć się z wrodzonymi skłonnościami pisarza. A zatem, miast poststrzegać to, co niedobre, co wywołuje odruch nieukontentowania, szukać raczej usprawiedliwienia tego, co istnieje w powieści, a nie wskazywać niepewnych drózek do tego, co mogłoby być. Być może, że tak byłoby i taktowniej, i z różnych względów lepiej. Lecz wówczas nie powiedziałbym szczerze tego, co myślę naprawdę, a przecież wszelka prawda — choćby i przykra — jest dla pisarza cenniejsza, niż zdawkowe gratulacje.



Józef Ratajczak

ZMIANA WARTY

Nie bez sporej satysfakcji zaciągnąłem tytuł do niniejszego felietonu z książki Jana Błońskiego. Krytyk ten bowiem po raz pierwszy wysunął śmiało tezę, upatrującą w 1956 roku nie tylko odmianę polityczną, lecz również inną, skromną i mało (na pozór) ważną: literacką rewolucję pokoleń, zmianę pokoleniowej warty literackiej. Rzeczywiście zdaje się na każdym kroku potwierdzać tę diagnozę. Zegar literatury i polityki przesuwają się coraz bardziej widocznie o jedno pokolenie, o jego doświadczenie i poglądy. Im bardziej zaś odsuwamy się od 1956 roku, tym wyraźniej zaznacza on swoją rolę przełomową tak w literaturze jak i w polityce. Zbieżności te, nie są rzeczą oczywistą, przypadkową, choć muszą zaskanawiać.

Starsi pisarze jak gdyby nagle zastępli w szkolnych podręcznikach, powstrzymując oddech, stali się od tego czasu klasykami, średni dojrżeli, dojrżeli zeszłorocznicy, a młodzi zmieniili w średnich... Pojawili się całe mnóstwo nowych nazwisk. Pełne ich są szpalaty tygodników literackich, plany wydawnicze wszystkich placówek w Polsce, wystawy księgarskie. Oni teraz zapełniają kawiarnie, licytują wartości artystyczne, usiłują ponownie zrzeszać się, aby gromadnie, szturmem, podobnie jak ich poprzednicy przed laty, wdręczyć się osłatecznie i absolutnie na miejscowe „Parnasy”.

Jest to zjawisko ogólnopolskie, i jako takie, również i u nas, na polskim bruku, znajduje w pełni potwierdzenie. Ci, którzy do niedawna byli tu jedynymi niemal „pisarzami z nazwi-

skiem”, odsunęli się od czynnego życia we własnym środowisku, zajmując więcej miejsca w historii literatury niż w jej współczesności, „średniacy”, zdobywający nie tak dawno ostrogi literackie, dojrżeli naraz, stali się czołowymi twórcami Poznania, wydawanymi chętnie i wystawianymi w całej Polsce, najmłodsi zaś co dopiero, tacy z pokolenia „Wierzbaka” stworzyli już faktycznie średnie pokolenie miejscowych pisarzy.

Proszę jednak nie sądzić, że to tylko kwestia lat, czy dojrzałości, że literacka zmiana warty odbywa się zalem automatycznie na wzór zmiany roczników poborowych. Pokolenie literackie to przede wszystkim kwestia postaw, poglądów ideowo-artystycznych, kwestia innego, odmiennego widzenia świata i odmiennych doświadczeń. Aby pozostać przy przykładach najbliższych, wystarczy porównać — dajmy na to — poezję Wojciecha Baka, Eugeniusza Morskiego i Ryszarda Daneckiego, reprezentujących tu trzy różne pokolenia, żeby się o tym przekonać.

Mniej wyraźne oblicze mają dzisiaj si poznających najmłodszy, dorabiający się właśnie pierwszych książek (Ewa Najwer, Adam Kochanowski), bądź piszący dopiero swoje pierwsze wiersze, najczęściej na użytek „szufladka Muz”, gdyż nie mają jeszcze gdzie publikować (Maria Zamruk, Jerzy Szatkowski), czy wreszcie ci, którzy zbyt długo, jak się zdaje, oczekują na debiut książkowy w przeciągłym i ograniczonym limitami Wydawnictwa Poznańskiego (Aleksander Wojciechowski, Wojciech Burlowy). Niemniej i ich jest już sporo,

a plan powołania z myślą o nich czegoś na kształt Koła Młodych przy miejscowym oddziale Związku Literatów Polskich zdaje się wróżyć ich poczynaniom lepsze i rozleglejsze perspektywy, więc i możliwości — w przyszłości — samookreślenia swojej odrębności.

Ale zmiana warty zaznaczana bywa także w drastyczniejszy, bardziej bolesny sposób. Opuszczają nas z wolna najwybitniejsi, najbardziej zasłużeni, znani, lubiani i popularni, ci, którzy przez długi czas stali w czołówce naszej współczesnej literatury, którzy formowali jej obecny kształt. Iluż już ich odeszło od 1956 roku? Nie chcę sporządzać bynajmniej listy strąt za te lata. Starczy przypomnieć dwie ważne daty ostatniego okresu: śmierć Władysława Broniewskiego i Leona Kruczkowskiego. Nie tylko narodziny więc, lecz również pogrzeby, tworzą historię literatury, są jej nieodłącznym elementem. Złazszca wówczas, gdy są to pogrzeby tak bardzo bolesne i niespodziewane jak w obu wspomnianych wypadkach. Po zmarłych, i to po takich zmarłych, nie zostaje bowiem pustka. Wience żałobne przeplatają się wleady, jak zawsze zresztą, z wieńcami laurowymi, a za plecami zmarłych kroczy przecież kondukt, długi kondukt młodych, zapelniających otwarte po tamtych miejsce.

Kiedy równocześnie niemal z wiadomością o śmierci Leona Kruczkowskiego przegladalem listę tegorocznych nagród państwowych i znalazłem wśród nazwisk dostojnych laureatów również nazwisko Stanisława Grochowiaka, mojego rówieśnika, startującego w poezji dopiero po 1956 roku, zrozumiałem nagle jak wieloznaczny sens może mieć obserwowana od kilku lat zmiana warty literackiej i ile kwiatów, nie tylko żałobnych, ile nasion i bujnej zieleni mieści się w garście ziemi rzucanej tak niechętnie na wieko trumny wielkich poprzedników.

kto pierwszy zobaczy ład powrotny, otrzymuje w nagrodę jako Kolumba, potężną porcję koglu-moglu z kakao lub czekoladą. Zarysy Kołobrzegu dostrzegły przez smugi deszczu chyba trzy osoby: dr Urban Nowakowski, Alfons Soczka z Chodzieży, nasz dzielny bosman i bodajże redaktor sportowy Telewizji, Teofil Różański. Sytuacja w kam-buzie oszczędziła kapitanowi trudów wyrokowania, kto na jajka Kolumba zasłużył. Ostatnie niepotłuczone jajka zjedliśmy w Kopenhadze, zaś resztką kakao, choć w blaszanej puszcze — zawilgła.

Wejście do wąskiej gardzieli Parsęty podczas sztormu jest zadaniem niełatwym. Polska locja nakazuje statkom przy pewnych kierunkach wiatrów powyżej czwórki oczekiwać stosowniejszej pory na redzie. Przeżyliśmy zatem ostatnią chwilę emocji wchodząc piruetem między główki portowe Kołobrzegu. Dziełowicz rejs „Wielkopolski” został pomysłnie ukończony. W roku bieżącym czeka jacht jeszcze jeden rejs skandynawski, po czym — po zimowym uzupełnieniu dostrzeżonych w żegludze usterek i braków — piękny jacht poznański rozpocznie swą normalną służbę żeglarską od maja do września, zapuszczając się — jak przewidują plany Społecznego Komitetu Budowy i Eksploatacji Statku — na inne morza europejskie z coraz to nową załogą.

LESZEK PROROK

Eugeniusz Paukszt

Nowości PIW-u

Zacznijmy od tekstów autorów polskich, jak się zresztą i przynależy PIWowi, szczególnie dbałem o wypuklenie wszystkiego, co wartościowe i cenne w naszym dorobku piśmienniczym.

Na pierwszy ogień warto wysunąć niewątpliwie rarytas wydawniczy, wydanie arcykikawej „Podróży do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu” Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Sierotki”. Podróż ta, odbyta w latach 1582—1584, jest dowodem stanu umysłowości ówczesnej, i dokumentem swojego czasu. I jako dokument i jako ciekawostka rzecz warta poznania.

Powoli dobiega końca wydanie krytyczne dzieł wszystkich Aleksandra Fredry. Ukazał się oto tom XII, zawierający drugą część „Wierzy” ogółowi raczej

nieznanych, a ukazujących twórczość komediopisarza w dodatkowym świetle. Z nie mniejszym aplauzem należy przywitać ukazanie się w druku „Fermentów” Władysława St. Reymonta w wydaniu krytycznym pod redakcją Zygmunta Szwejkowskiego. Ta powieść Reymonta, będąca swoistą kontynuacją „Komediantki”, na ogół mniej znana szerszemu czytelnikowi, w sposób panoramiczny ukazująca życie ówczesnej prowincji, znajdzie na pewno wielu gorliwych wyznawców, choćby z uwagi na niezrównaną swą plastykę w przedstawianiu środowisk.

Ze wzruszeniem brałem do ręki kolejny tom pism Bolesława Leśmiana, zawierający „Utwory rozproszone i Listy”, w opracowaniu Jacka Trznadla. Nie lada to był mozół zebrac teksty, nie przedrukowane dotąd w żadnym z książkowych wydań, pochodzące z lat 1896—1915, a wszystkie charakterystyczne dla ukazania procesu kształtowania się indywidualności twórczej Leśmiana, tak niezwykłego zjawiska w naszej poezji. Skoro o poezji mowa, chciałbym zalecić tutaj nowe, piękne wydanie „Eugeniusza Oniegina” Aleksandra Puszkina w doskonałym przekładzie Adama Ważyka.

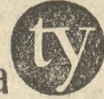
Z tekstów współczesnych polskich pisarzy wznowiona została „Okupacja” Stanisława Łukasiewicza, utwór, który minął bez większych echi, ze szkodą tak dla swych wartości literackich, jak nade wszystko poznawczych. Łukasiewicz bowiem ukazuje tam okupację nie od strony heroizmu walki, ale od trudnej szarzyzny dnia codziennego na głębokiej prowincji.

Pośród PIWowskich przekładów sporo nowości nader pasjonujących. W słynnej już, przepięknie wydanej serii „Życie

codzienne” ukazała się praca Emile Mireaux „Życie codzienne w Grecji w epoce homeryckiej”. Przy olbrzymiej ilości materiału tekst pisany jest żywo i bardzo przystępnie.

Entuzjastów znajdzie niewątpliwie powieść Jana de Hartoga, Holendra, p. t. „Jan Wandelaar”, w bardzo dobrym przekładzie poznajszkiej tłumaczki Marii Kłos-Gwizdalskiej. Utwór Hartoga podejmuje temat służby holowniczej na oceanach. Kapitałna sceneria, ukochanie i zrozumienie morza i jego ludzi, wartka akcja, oto dodatkowe walory tej książki. W inne zgoda środowisko, bo artystyczne, głównie pisarskie wprawda swych czytelników Henry James w zbiorze „Madonna na przyszłości”; świetne obserwacje psychologiczne, wspaniała forma rzyg utworów, wróż

z książką na



nowemu tomowi autora tak głośnych „Ambasadatorów” nie mniejsze powodzenie.

Inny krąg zagadnień interesuje Aleksandra Cordella, którego powieść „Zhańbiona ziemia” dotarła właśnie do rąk czytelników. Powieść ta zaczyna cykl poświęcony Walii z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Szeroki zakres problemów, warstwa obyczajowa i historyczna, żywe wątki fabularne, sprawiają, iż dramatyczny czas historii walijskiej ukazany poprzez żywot jednej rodziny staje się nam serdecznie bliski i zrozumiały. Z klasyki angielskiej zaleci natomiast warto „Dziedzictwo Belton” Anthony Trollope, powieść wydaną po raz pierwszy w roku 1866, a przecież stale po dziś wznawianą. Dzieje bohaterki, Klary Amedroz, to dla nas jakby dokument historyczny drogi kobiety przez ciąg stulecia.

W serii „Klubu interesującej książki” otrzymujemy „Urzednika skarbowego” pióra Nino Palumbo, młodego pisarza włoskiego, szczególnie pasjonującego się odkrywaniem prawdy losów zwykłych, przeciętnych ludzi, bez wolnych wobec zastanego układu stosunków społecznych. Powieść prezentowana przez PIW uzyskała wysoką nagrodę włoską.

Chciałbym jeszcze zalecić czytelnikom tom opowiadań pisarza mieszkającego w Berlinie zachodnim, Wolfriedricha Schnurra p. t. „Ucieczka do Egiptu”. Tom mieści zarówno teksty związane z dzieciństwem pisarza, które miały w trudnych warunkach, jak i utwory gwałtownie protestujące przeciw odradzaniu się tendencji neohitlerowskich już bezpośrednio po wojnie.

I na ostatek nowa pozycja z serii „Z jednorożcem”, „Sąd” Włodzimierza Tiendriakowa. Świetne opowiadanie, jak wszystkie utwory Tiendriakowa, o których tu już kilkakrotnie pisałem.

Do trzech sztormów sztuka

Dokończenie ze str. 3

stawieniu z jabłkami, nieocenionymi, jako że w obie strony smakują jednakowo...

Znow niosło nas niepełne ożaglowanie. Fok i bezan trzymały się najdłużej. By przeciwstawić się dryfowi raz po raz musieliśmy włączyć silnik.

W morze światła Sundu weszliśmy trzeciej doby od opuszczenia Ystad. Pełna napięcia noc żegluga na tym ruchliwym bulwarze wodnym, wiodącym z Bałtyku i na Bałtyk, godna jest osobnego omówienia. Przebieg tej trasy wymaga precyzji nawigacyjnej lecz daje w zamian osobiwy obraz pogodnej nocy, w której konstelacje gwiazdne łączą się niedostrzeżenie z konstelacjami światła brzegowych.

Gdy zbliżyliśmy się do silnej latarni Droden, na kursie „Wielkopolski” rozlała się szeroka łuna światła Kopenhagi. Słabsza łuna na

prawym trawersie wskazywała, gdzie leży szwedzki Malmö.

O szóstej rano w niedzielę 2 września po zręcznym wejściu do basenu królewskiego jachtklubu rzuciliśmy cumy na brzeg kopenhaski. W mieście kupców i żeglarzy, a także mieście Andersena i Thorvaldsena gościliśmy bez mała sześć dni.

Dla kogo jajko Kolumba?

Kolekcja w żegludze jachtowej naprawdę wyjątkowa, mogąca zniechęcić nowicjusza: trzy sztormy podczas krótkiego rejsu do portów duńskich; w sumie — 130 godzin silnej chwiejby, walki z wiatrem, najczęściej niekorzystnym.

Trzeci, ostatni sztorm, okazał się jednak pod tym względem łaskawym. Dął setnie, rzucał silnie, ale pchał w kierunku wytyczonym na mapie idealnie prostą linią. Ze stolicy Danii do Kołobrzegu, który stanowił port powrotny, płynęliśmy tylko 25 godzin, dotrzymując na ruchliwej trasie kroku — jeśli wolno użyć tak ładowego określenia — motorowym statkiem średniej wielkości. Tym razem bardziej od wiatru i bryzgów zalewających pokład trapił deszcz. Chronią przed nim skutecznie gumowe sztormówki, lecz deszcz zasnuwa morze aurą posepną, beznadziejną; szczególnie dotkliwie odczuwa się ją na małym statku.

W jachtingu utarł się obyczaj, iż

Jak długo może trwać taka sytuacja? Co będzie, jeżeli Berlin przestanie płonąć? O to niech się już martwi pan burmistrz.

Koncepcja władzy de Gaulle'a

Nowa Kultura zamieszcza korespondencję własną z Paryża Jana Gerharda pt. Charles de Gaulle 18-ty Brumaire'a. Autor korespondencji wnikiwie opisuje sytuację, w jakiej znalazła się Francja. Oczywiście, główną postacią korespondencji jest prezydent de Gaulle.

„Harmonia między bońską wizytą de Gaulle'a i danym przezeń w gościnie u Adenauera prawdziwym koncertem na chwałę zimnej wojny, militarysty, rewizjonizmu i antykomunizmu, a tym, co się teraz we Francji dzieje w związku z zapowiedzianą rewizją konstytucji w kierunku monarchii i absolutyzmu prezydenckiego, nie może ująć niktylej uwagi. Scista harmonia. Już nazajutrz, po powrocie z republiki federalnej, przeszedł de Gaulle do ataku na frontie wewnętrznym. Do ataku przeciw republice i demokracji. Rzecz jest logiczna, jeśli bowiem wszystkie te zamysły militarystyczne mają być realizowane na zewnątrz, to trzeba zmienić sytuację wewnętrzną, zgodnie z zasadą fizyki i polityki, że ciśnienia powinny się równoważyć.”

Wierzyć się nie chce, że ten sam de Gaulle, który podczas ostatniej wojny światowej walczyl przeciwko militarystom hitlerowskim dziś tak kokietuje militarystów bońskich. Właśnie o mechanizmie tej metamorfozy pisze J. Gerhard w korespondencji z Paryża.

Kto po Hemingwayu i Faulknerze?

Czy wielcy Amerykanie mają następców? Z takim pytaniem zwróciła się redakcja Polityki do znawcy literatury amerykańskiej i wybitnego tu-

macza Bronisława Zielińskiego. Dzieli on pisarzy amerykańskich na pewne grupy. Do pierwszej zalicza trzech najstarszych Roberta Penna Warrena, Jamesa Goulda Cozzena i Johna O'Hare. Do drugiej zalicza czwórkę znakomitych jego zdaniem pisarzy „wojennych” Irwina Shawa, Normana Mailera, Hermana Wouka i Jamesa Jonesa. Ale tych określa jako „pisarzy jednej książki”. Dalej wymienia też kilku innych. Oto ich nazwiska: Truman Capote, Jerome David Salinger, Jack Kerouac, William Stryon oraz John Updike.

Wśród wspomnianych wyżej pisarzy kryją się kandydaci na wielkich następców Ernesta Hemingwaya i Williama Faulknera.

„Jednakże kto wie, czy to arcydzieło, na które czeka literatura amerykańska, nie nadejdzie jeszcze z innej strony (...). W lipcu bieżącego roku, nieomal w rocznicę śmierci Hemingwaya, spotkałem przypadkiem w Wenecji Mary Hemingway, wdowę po wielkim pisarzu. Umówiliśmy się (...) w „Harry's Barze”, pamiętnym z tytułu strony jego powieści „Za rzekę, w cień drzew” (...). I właśnie tam (...) pani Hemingway powiedziała mi, że już w najbliższym czasie wydane zostaną dwie albo trzy książki z pośmiertnej spuścizny jej męża. Może więc Hemingway przemówił do nas znowu w sposób, godny jego najświetniejszych dzieł?”

Na odpowiedź będziemy jednak musieli jeszcze poczekać.

Putrament i Wańkowicz

Zwykły przypadek sprawia, że jednym tchem wymieniam obok siebie dwa nazwiska. Sąsiadują one z sobą na ostatniej stronie Przeglądu Kulturalnego. Jerzy Putrament w swym „Kąciku laika” publikuje felieton pt. Ryczący jeleni. Autor po trosze broni i stara się usprawiedliwić zwolenników sztuki określanej symbolicznie „ryczącym jeleniem”, który triumfuje przede wszystkim na prowincji.

„Nawet dziś, w epoce, zdawałoby się, tak przenikliwych środków upowszechniania sztuki, jak: radio, kino, telewizja, wartości artystyczne bardzo wolno przedostają się nie tylko z Warszawy pod Koszalin, ale i z Krakowskiego Przedmieścia na Targówek, a nawet Powiśle.”

No cóż, możemy rozdzierać szaty nad jeleniami, ale dużo jeszcze wody w Wiśle (a chyba jeszcze więcej w Warcie) upłynie, nim owe jelenie przestaną być jedynym wyrazem zainteresowania szluka u pewniej dość znacznej grupy rodaków.

Melchior Wańkowicz zaś w felietonie Zupa na gwoździu pisze o pewnych zmianach w opinii o Polsce za granicą. Dawniej ta opinia była bardzo mglista, dzisiaj...

„...Kiedy miałem odczyty o Polsce w Indiana University, nie byłem w stanie w wielu wypadkach odpowiedzieć na docieklive, podmurwane cyframi pytania o produkcję, bilans, wykształcenie itd. Jesteśmy okrośniona, realną wartością dla świata.”

I to jest fakt. Nikt już za granicą nie stawia głupich pytań w rodzaju: czy w Polsce niedźwiedzie chodzą po ulicach lub jaką skórę mają Polacy? To cieszy, ale i to zobowiązuje.

Konkurs „Ziemi Nadnoteckiej”

Ambitny miesięcznik regionalny Ziemia Nadnotecka — wychodzący w Pile ogłosił swego czasu konkurs na reportaż o przemianach regionu nadnoteckiego. Laureatami konkursu zostali Eugeniusz Więczorek z Piły za pracę pt. Wiesz jak znalazł, Edmund Hrynówiak z Walcza za pracę Było ich trzynastu oraz Kazimierz Marcinkowski z Piły za reportaż pt. Wrażenie główne. Wszystkie trzy reportaże znajdujemy w najnowszym wydaniu Ziemi Nadnoteckiej. Przy okazji polecamy ten miesięcznik mieszkańcom regionu.

LEKTOR



Dzwonnik wolności zachodu

Tak nazywa Stanisław Brodzki Willy Brandta, burmistrza zachodniego Berlina w artykule pt. Dzwonnik z Berlina opublikowanym w ostatniej Polityce. Artykuł ukazuje nie tylko wielką karierę tego byłego socjalisty, który w ciągu kilku tygodni z prowincjonalnego polityka urosł do rangi „ważnej osoby”, ale także odświeżenie spory odcinek historii powojennych Niemiec.

„Kiedy (...) w 1957 roku ZSRR wysunął sprawę konieczności uregulowania problemu Berlina — burmistrz zachodniej części podzielonego miasta stał się postacią międzynarodową. On, główny „dzwonnik wolności Zachodu”, był bardziej adenauerowski niż Adenauer i bardziej amerykański niż Amerykanie. Jeżeli Bonn mówiło „nie” na propozycje ze Wschodu — Brandt wykrykiwał „nigdy” na granicy sektorów (...). Narzecze znalazł się „ein Fuehrer”. Ale do „ein Volk” i „ein Reich” było jeszcze daleko.”

W innym miejscu St. Brodzki pisze: „Nie wiem (...), czy meteoryczna kariera zimnowojenna Willy Brandta będzie trwała, czy też skończy się równie szybko, jak się zaczęła. Najtrafniej chyba ujął to wybitny socjolog NRF-owski, który, w rozmowie ze mną, powiedział: „So-lange Berlin brennt, ist der Brandt dort notwen-dig” (gra słów: „brennt” — pali się, „Brandt” — pożar). Jak długo Berlin płonie, Brandt jest tam niezbędny. Nie, jako strażak oczywiście, lecz jako ten, który cielewa benzyny do ognia.”